Nr 318 — We Lwowie Poniedziałek dnia 16. Listopada 1891. — Rok XXIV.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego," Plac Marjacki liczba 6 i 7.

Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 złr. — półrocznie rocznie 9 złr. — kwartalnie 4 złr. 50 ct. — miesięcznie 1 złr. 50 ct.

Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 złr. — półrocznie 12 złr. — kwartalnie 6 złr. — miesięcznie 2 złr.

Z przesyłką pocztową za granicę; do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 sr. gr. do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Numer kosztuje 6 centów.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Telefon Redakcji 171.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o 8. rano.

40 000 morgów ziemi w Galicji na marne.

Lwów 15 listopada.

Wydział krajowy pragnąc być w zupełnem pogotowiu do regulacji rzek, aby mógł przystąpić bezzwłocznie do rozpoczęcia robót, skoro tylko uzyska u rządu odpowiednie środki materjalne, zastanawiał się również nad sprawą osuszenia ogromnych przestrzeni bagien i łąk mokrych, jakie położone są po obu brzegach Dniestru.

W tym celu delegował urzędnika swego dr. Józefa Szydłowskiego, polecając mu, by zajął się badaniem rozmiarów i rentowności tych bagien i łąk na podstawie przesłuchania zwierzchności gminnych, przełożonych obszarów dworskich i w ogóle zeznań osób interesowanych.

Ze sprawozdania, jakie dr. Szydłowski, po ukończeniu tej czynności, Wydziałowi krajowemu przedłożył, dowiadujemy się, że w powiecie rudeńskim, samborskim i drohobyckim znajduje się około 40.000 morgów ziemi, których przeciętny dochód z morga nie dochodzi nawet 1 zł... a wartość jednego morga nie szacuje się wyżej nad 40 zł. Przyjąwszy wartość jednego morga łąki słodkiej na 200 zł., a dochód z niej na 20 zł., wykazuje dr. Szydłowski, że przez zamierzone osuszenie całej tej przestrzeni, podniosłaby się wartość ziemi o 6,400.000, a renta z niej o sumę 760.000. Jeżeli się nie mylimy, będzie temu lat sześć, sprawa regulacji rzek w Galicji zdawała się być ostatecznie postanowiona i zadecydowana. Sam dwór, którego doszły wieści o ogromnych spustoszeniach, jakie w całym naszym kraju wylewy rzek poczyniły, zainteresował się tą sprawą, rząd zaczął się skłaniać do udzielenia pomocy materjalnej. Nagle wszystko ucichło. Cóż się stało? Oto wezbrały rzeki w Tyrolu, wyrządziły ogromne szkody, pieniądze przeznaczone dla Galicji wysłano tam, a nam znowu czekać kazano. Plany regulacji, spoczywające w biurku szefa meljoracji, p. Kędziora, spoglądają tęsknie na niego i pytają smutnie, czy na to je z takim mozołem wypracował, by one nigdy światła dziennego nie ujrzały.

W starożytnym Rzymie żył niegdyś senator Cato, który na wszelkie przedłożenia rządu miał tylko jedną odpowiedź: *Ego autem censeo Carthaginem delendam esse.* Gdyby i u nas w Kole polskiem znalazł się senator, którył ile razy rząd zwróci się do Koła z prośbą o poparcie go w jakiej sprawie umiał odpowiedzieć: Sądzę, że przedewszystkiem należy rzeki w Galicji uregulować... — może słowa te zrobiłyby większe na nim wrażenie, niż te łzy kilkudziesięciu tysięcy włościan, zmuszonych patrzeć rokrocznie, jak pieniące się fale zabierają całe ich mienie, jak ostatnie źrebię, jedyna nadzieja pomocy w pracy pada, rażone wąglikiem lub motylicą, chorobami, grasującemi epidemicznie po każdym wylewie rzeki.

Korespondencje.

Buda-Peszt 14. listopada.

(Wystawa krajowa i projekt Towarzystwa przemysłowego. — Hr Eugenjusz Zichy. — Moja uwaga, — Wybór Jokaya do rady miejskiej. — Z krainy sztuki. — Dwóch Michałów. — Z Künstlerhausu. — Pani Kornelia Priella. — Jej jubileusz i jakie wrażenie z niego wyniosłem. — Ze sfer operowych — Proces Fukacza w Znaimie).

Projekt ministra Barosza, dotyczący urządzenia wystawy krajowej w Buda-Peszcie w roku 1895 uzyskał już aprobatę *ad hoc* delegowanej komisji i niewątpliwie zrzejdzie, według programu, przez ministra przedłożonego, — do rzędu uchwał zadecydowanych ostatecznie.

Krajowe towarzystwo przemysłowe pod wodzą hr. Eugenjusza Zichy'ego, (znanego w całych Węgrzech pod pseudonimem „Gewerbe Graf'a") stawia opór projektowi Barosza, i agituje koniecznie na rzecz wystawy „powszechnej", ale nie krajowej, jak tego pragnie projekt min. handlu.

Pochwały godzien jest zapał hr. Zichy'ego, ale czy optymistyczne zapatrywania nie za śmiało są rzucone w świat szeroki, to ważne pytanie, bo doprawdy młode Węgry, — a jeszcze młodszy Buda-Peszt czy nie za słabe są jeszcze na wytrzymanie ryzyka deficytu wystawy światowej! Bo w pierwszym względzie gdzież pewność, że wszystkie mocarstwa i kraje poszczególne przyjmą udział w wystawie Budapeszteńskiej — a drugie, gdzie miljony tych przyjaciół, które mają koniecznie wystawę zwidzić, aby dać dochód możliwie wielki, zresztą na kogo liczą Węgry — a powtóre czem się chcą szczycić wobec świata w tysiączną rocznicę swojego istnienia? Industrją, kulturą i sztuką, przemysłem i handlem obco krajowym? Doprawdy ośmielam się powiedzieć, że zapał hr. Zichy'ego jest dla sprawy wielki, — ale przemysł węgierski będzie bardzo mały i więcej nagany jak pochwały godzien, wobec okazów, wszechświatowego w tym względzie postępu! Tu nadmienić muszę, że na wystawie w 85 roku widzieliśmy okazy wyrobów zagranicznych z firmą węgierską — a czyż Węgry przez dziesięć lat tak wielce podnieść mają swoją produkcję, przemysł, sztukę i kulturę w ogólności, że są w stanie wytrzymać tuż obok siebie konkurencję okazów zagranicznych! Wątpię i powątpiewanie to upoważnia mnie do powiedzenia nawet najwięcej zapalonym propagatorom projektu hr. Zichy'ego zdania naszego poety „przestańcie dzieci, bo się źle bawicie" i t. d...

W Buda Peszcie odbyły się obecnie wybory uzupełniające do rady miejskiej. Nie obchodzą one nas wiele, więc o nich najkróciej. Najważniejszą jest jednak wiadomość, że Maurycy Jokay, znany zresztą całemu światu cywilizowanemu poeta i powieściopisarz wyszedł zwycięsko z urny wyborczej szóstego cyrkułu miejskiego. Kto zna Jokaya, — ten wie, że w życiu publicznem, jako poseł do sejmu, nie wiele ma zasług i bardzo nie wielu przyjaciół. Składają się na to rozmaite przyczyny, nie poruszam ich — ale to dodam tylko, że nie pojmuję poety tak głośnego imienia, który przyjmuje na siebie rolę poselską — z zupełną świadomością, że do służby publicznej brak mu wszelkich zdolności. To człowiek, który od lat 40 tak się przyzwyczaił „potakiwać", że dziś słowo „nie" w jego mowie wykluczonem zostało. Na wszystko służy odpowiedź „tak", a ponieważ to zbyt „krótkotrwała" odpowiedź, więc przeważnie milczy, — albo jeśli już wyrywa się z milczenia, to opowiada anegdotkę, albo bajkę zastósowaną do przedmiotu, w mowie będącego — ale przedmiotu sprawy nigdy nie porusza. Jokay, przed którym jako poetą i literatem z całym szacunkiem zniżyć można czoło, — jest doprawdy niczem w służbie publicznej i dla tego, wyboru tego nawet do rady miejskiej nie rozumiemy.

Wstępuję teraz z czytelnikiem w krainę węgierskiej sztuki! Kiedyś powiedział tutejszy estetyk, dr. Adolf Silberstein, że sztukę malarską w Austro-Węgrzech reprezentują trzy litery jednakie... — trzy duże M., to jest trzy nazwiska, Makarta, Matejki i Munkacsy'ego. Nic dziwnego, że niemi są Wiedeńczyk, Polak i Węgier — jako ludzie odrębnych narodowości — odrębne w malarstwie, reprezentują kierunek, ale dziwniejszem jest, że dwóch „Michałów", Węgrów, a do tego mistrzów pędzla i palety, tak odmiennego są usposobienia i jako ludzie i jako malarze. Oto przykład. Węgrzy budują parlament, gmach olbrzymi. Salę posiedzeń sejmu i izby magnatów, pragnie rząd ozdobić freskami. Michał Munkacsy, maluje już za 100 tysięcy obraz, przedstawiający „Przyjście Węgrów do Europy", a Michał Zichy (nadworny malarz cara), odpowiedział na propozycję mu uczynioną, że chociaż Węgier, nie zna jednak dokładnie historji swojego narodu, a powtóre zdala od kraju rodzinnego zrezygnował już z praw czynienia usług swoim kompatrjotom — ile że jego miejsce zajmuje już drugi sławny „Michał" który jego (Zichy'ego) zastąpi niezawodnie. Ta odpowiedź mistrza z nad Newy nie bardzo ucieszyła Węgrów, ale bo też nie można jej odmówić „klasyczności", przez którą przebija owo znane nam dobrze „z rozporażenia naczalstwa".

Zostańmy na chwilę przy malarstwie. Tylko co zamknęły się podwoje „Künstlerhausu" po wystawie akwarel belgijskich artystów, która nawiasem mówiąc, arcypiękną była, a już 25. bm. otwierają się one znowu dla „międzynarodowej wystawy sztuki". — Obrazów nadesłanych ma być 600 (pokaźna liczba); czy i nasi artyści przyjmują w tej wystawie jesiennej udział, nie omieszkam zanotować tego później, dziś podaję tylko nagą treść komunikatu, jaki do rąk moich ze strony sekretarjatu towarzystwa doszedł.

Pani Korneljа Prielle, zasłużona artystka teatru narodowego, niegdyś sceniczna „naiwna", potem „bohaterka", następnie „dama salonu", dalej „matka" sceniczna, a dziś jako „babcia" w sztuce Csihie'go pod tymże tytułem, była przed paru dniami „przedmiotem" (z zastrzeżeniem, jeśli cały świat zakulisowy mi to wyrażenie przebaczy) frenetycznych owacyj, wyrządzanych jej przez ogół publiczności, dyrekcję, królewską intendanturę — i cały areopag artystów i artystek rozmaitego — wieku, znaczenia i charakteru, bo nawet i reprezentanci „czarnych charakterów" scenicznych — znajdowali się przy tej uroczystości.

Pani Korneljа Prielle, obchodziła oficjalnie jubileusz 50 letni, czyli złote — ze sztuką dramatyczną — wesele. Począwszy od króla, który ozdobił artystkę „złotym krzyżem zasługi" — a skończywszy na dziesiątkach prezentów mniej lub więcej kosztownych i mnóstwie wieńców, wszyscy tu przyjęli żywy współudział w oddaniu hołdu zasłużonej artystce, dzisiaj staruszce, schodzącej już ze sceny w krainę „dobrze zasłużonego spoczynku", co znaczy.. emerytury,

Byliśmy świadkami tej uroczystości, jak i podobnych w kraju naszym — ale serce się mimowoli ścisnęło nam z żalu. I my bo mamy naszą Aszpergerową, Hoffmanową, Modrzejewską, mieliśmy jubilatów Żółkowskiego, Królikowskiego i wiele innych artystów i artystek sceny polskiej, zasłużonych niepomiernie i może więcej, jak nie ubliżając sztuce węgierskiej, Kornelja Prielle — ale żaden z naszych artystów nie nosi... „złotego krzyża zasługi". Żal ten ściskał mi serce, lecz w końcu uspokoiłem się, przypomniawszy sobie, że my nie Węgrzy, tylko Polacy... i nie mamy swojego króla... Cześć, którą nosimy w piersiach naszych dla artystów i artystek sztuki polskiej, to ich... „złoty krzyż zasługi".

Ze sfer operowych dochodzi mnie wieść, że panna Heller nagle wyjechała z Buda-Pesztu, opuszczając operę królewską. Co było przyczyną tak prędkiego wyjazdu artystki — nie wiem — twierdzą dobrze poinformowani, że rozgoryczenie i żal do dyrekcji, że młodej artystce wybitniejszych partyj do śpiewu nie dawano. Pan Rebiczek wyrabia sobie coraz to lepszą opinję, jako kapelmistrz i dyrektor orkiestry operowej,

Psychologiczną zagadką, interesująca najszersze koła, a szczególniej jurydyczne, jest proces Fukacza w Znaimie.

Zasądzony już na karę śmierci, Fukacz występuje przy ponownej rozprawie nie jako oskarżony, ale jako świadek — oskarżonym jest Trufar. — Oto krótka treść sprawy.

Siostra Fukacza rodzona, wdowa po niejakim Fischerze, właścicielka domu w Budapeszcie kobieta młoda i bardzo piękna, a znana w szerokich kołach obywatelstwa, jako wykształcona i bardzo majętna osoba, została zamordowana przed rokiem we własnem mieszkaniu przez uduszenie stryczkiem. Rozprawa pierwotna wykazała, że mordercą był nie kto inny, jak brat własny zamordowanej, Fukacz, człowiek bardzo inteligentny zresztą. Sąd w Znaimie skazał mordercę na śmierć przez powieszenie. Kiedy podano prośbę do monarchy o ułaskawienie i nie było nadziei jej uzyskania, Fukacz zeznaje przed swoim adwokatem, że nie on był właściwym mordercą siostry, tylko niejaki Trufar, którego on (Fukacz) do tej zbrodni jednak namówił, Adwokat uzyskał wznowienie rozprawy, która obecnie toczy się w Znaimie.

Sąd i świadkowie, powołani do rozprawy, są tego przekonania, że Fukacz, aby sobie wyrok złagodzić, obrał niewinną ofiarę w osobie Trufara, którego najniewinniej o zbrodnię oskarża. Ciekawe zaiste są zeznania i konfrontacje Fukacza z Trufarem. Pierwszy z całą bezczelnością oskarża Trufara — a ten z całym spokojem udowadnia na każdym kroku, że wszystkie te obwinienia są fałszywe. Sprawa się toczy. Wyniku jej nie można przesądzać. Panuje tu jednak przekonanie, że gdyby nawet udowodniono niezbicie Trufarowi, że on zamordował wdowę Schmidt, — to jednak według kodeksu karnego — tak Fukacza, jako intelektualnego sprawcę zbrodni, jak i Trufara jednaki wyrok śmierci czeka, że jednak obaj byliby przez sąd do ułaskawienia monarchy przedstawieni. O wyniku rozprawy doniosę niezawodnie. *Pobóg.*

Listy londyńskie.

XXVI.

10. listopada.

W Irlandji wrze, jak w kotle, ustawionym na ogniu. W biednym tym kotle rozgotowuje się na strzępy narodowa sprawa i potrzeba, a jeśli płomienie dłużej podsycać będzie zawiść i zażarzłość spółzawodniczących z sobą stronnictw, to ze sztandaru narodowego, tryumfującego bez przerwy w latach wielkiego Parnella, nie pozostanie ani szmaty! Ile głów poselskich, tyle tam frakcyj — a nie ma ani jednego człowieka, któryby potrafił zbić te głosy w jeden granitowy taran i bić nim w twierdzę brytańskiego parlamentaryzmu. Parnell to potrafił. Duchowieństwo źle, bardzo źle i bardzo niepolitycznie postępuje, używając swego między ludem nieograniczonego wpływu na to, co... nie może być celem politycznym. Irlandja traci codzień sympatje liberalno-radykalne w Anglji i Szkocji, bo sympatje te płynęły tylko skutkiem dwojakiego przekonania: że zjednoczony naród Zielonej Wyspy pozostanie takim w obec swej ludności brytańsko-protestanckiej, liczącej 32% wszystkich mieszkańców kraju — i że autonomiczna władza, wykonywana zgodnie, nie będzie ulegała nieodpowiedzialnym wpływom duchowieństwa. Tymczasem wszystkie objawy tego roku świadczą aż zbyt wymownie, że... Irlandczycy niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli; że duchowieństwo, którego stanowisku duchownemu żadna się ze strony Anglji nie dzieje dziś krzywda — które ma bez porównania większą swobodę pod rządem protestanckiej Anglji, aniżeli francuskie pod rządem własnym — że duchowieństwo to nie dorosło jeszcze do dojrzałości politycznej. . zapoznając najoczywistszą drogę, wiodącą do ostatecznego zwycięstwa narodowej sprawy. Nie ustępuję nikomu najszczerszem uznawaniem zasług kleru irlandzkiego; w ciągu ostatnich lat 12 z Irlandji i z Anglji pisałem szeroko o prawdzie historycznej faktu, że tylko i jedynie kapłani uratowali ostatni w Europie naród kelto gaelski od zagłady — że oni i oni jedni tylko wiedli lud swój przez czarną noc wieków angielskiego ucisku, aż go przywiedli do pełnej świadomości narodowego życia przed dniami O'Connella i Parnella. Ci wielcy mężowie stanu i wielcy patrjoci ujęli ster łodzi narodowej wtedy i tam, gdzie i kiedy... synowie światłości nie mieli i nie mogli walczyć z wrogiemi żywiołami. Konstytucja angielska nie daje udziału w sprawach politycznych swym pastorom i sekciarskim ministrom — anglikańscy biskupi, zasiadający w izbie lordów z tytułu swych doczesnych, djecezjalnych baronij, nie zabierają głosu w kwestjach innych, prócz kościelnych i prawniczo-moralnych; miałażby Anglja zezwolić kiedykolwiek... zwłaszcza Anglja sekciarsko-radykalna, iżby parlament dubliński był — z jednej strony reprezentacją kleru katolickiego, a ze strony przeciwnej obozem protestanckich oranżystów? Gdyby nawet przyszło do parlamentarnej autonomji, to ileż będzie w Dublinie stronnictw? Na lewicy, dajmy na to, zasiędzie zwarta falanga bogatych, wysoko wykształconych przemysłowców Ulsteru, wielkich właścicieli ziemskich z całej Irlandji, wielkich powag naukowych wszechnicy św. Trójcy i kolegjów uniwersyteckich z Cork, Galway, Belfastu — falanga, przejęta „lojalnością" względem Anglji, nienawiścią keltyzmu i „papieżnictwa", przekonana o swej wyższości kulturnej i o przewadze wszechstronnej swej rasy. Na prawicy... obaczylibyśmy partję biskupią i partję „niezawiśle narodową" — a w nich obu, frakcje Dillonistów, pomiatających Healy'istami — widzielibyśmy O'Briena w nieuleczalnym antagonizmie do Michała Davitta... a fenianizm amerykański w osobie tak potężnego człowieka, jakim jest np. Harrington, lub Redmond, walczyłby do upadłego z reprezentantami „idei pośredniej", z takim Mac-Carthym, Sextonem i Gill'em... Nad wyraz smutne, straszne, złowrogie wstają cienie nad Parnella świeżą mogiłą!

Alia canamus!

Więc zapraszam łaskawych państwa do Wenecji... w Londynie. Do Wenecji tak prawdziwej, jak nad Wielkim Kanałem i na placu św. Marka — tylko cokolwiek mniej rozległej. Do Wenecji z jej kanałami, gondolami i gondolierami, harfistami i gitarzystami, z jej uliczkami i z jej pałacami, galerjami, kawiarniami — z jej Wenecjankami i... z jej szafirowem niebem, z jasnem słońcem, z jej gwiazdzistemi nocami, serenadami, teatrami *et quid nunc?* Za szylinga! za 60 ct. w. a., od rychłego poranku do północy, od 26. grudnia do śródlecia — w Londynie.

Jak tyle innych genialnych pomysłów, tak i ten w mojej się błąkał głowie... Ale ustalenia idei i wykonania jej podjął się człek dziwacznego nazwiska, IMCI Pan Imri Kiralfy. Co on zacz, nie wiem — najprawdopodobniej jest to mąż bez narodowościowego cienia i równie uzdolniony, jak Peter Schlemihl w drugiej edycji swego żywota. Zaleca go wszakże ta okoliczność, że on jeden, a nie kto inny zbudował był fortunę słynnego przed dwoma laty widowiska Barnuma, wymyśliwszy „Rzym za Nerona" i przewspaniały dwakroć dziennie pożar Romy. Na tem samem terytorjum tego miasteczka, gdzie Barnum nieboszczyk pokazywał „najpotworniejszy spektakl w świecie" — na krańcu zachodnich Londynów — przygotowuje się „najkolosalniejsze przedsięwzięcie naszych i minionych czasów"... jak głoszą plakaty. Budują się pałace, kubek w kubek takie same, w jakich mieszkali dożowie, kochali się Otelle, bankietowali książęta średniowiecznego handlu — a wielki kanał, 90 stóp szeroki, płynie już pod łukami Rialta, czekając na swe gondole. Kiedyś... jeśli mnie znów stąd nie wywabią bliższe sercu troski, opiszę szczegółowo wygląd królowej Adryatyku w Tamizy objęciach; dziś na to zawcześnie.

Złożyłem dziś powinszowania księciu Walji, bo skończył pięćdziesiątkę. Na objedzie nie byłem w Marlborough House, bo daleko lepszy czekał mnie w Mansion House, gdzie rozpoczął panowanie David Evans, rodem z Walji, lord-major stołeczny. Biedak pochował matkę przedwczoraj — dziś jednakże przewodniczyć musi wszystkim uroczystościom, których jest bohaterem i ofiarą. Mowy ministerjalne dojdą was w streszczeniu telegraficznem — będzie w nich dużo o zapewnionym pokoju europejskim, dość dużo o Egipcie, ani słowa o Pamirze, a najwięcej o nowym przywódzcy ministerjalistów w izbie niższej, p. Balfourze, o Irlandji i tem, że — chwała niebu, my Anglicy, nie jesteśmy, jako te inne ludy świata, którym żyć pozwalamy i dla nas pracować.

Na zakończenie i to dodam: „Dziewczyna w Karpatach" wyszła jednego i tego samego dnia (2. b. m.) za mąż i w czwartem wydaniu. Szczęśliwy małżonek, p. Nozman, nabył z pewnością pierwsze wydanie i zakochał się w onej miss Dowie, która chadzała z młodymi huculami nad Prutem i Czeremoszem — waliła z rewolweru do pcheł w Żabiem i jeździła konno, na oklep i *en garçon* — sama jedna wzdłuż i w szerz Pokucia. Czwarte wydanie książki nie jest już tak... pikantne.

Edmund S. Naganowski.

Krach berliński.

Now. Wrem. objaśnia przesilenie na giełdzie berlińskiej w sposób następujący: „Giełda berlińska doczekała się wreszcie krachu, na który zanosiło się tam dawno. Jak zwykle w takich razach, katastrofę zwiastowało najpierw bankructwo pewnej firmy bankierskiej, „cieszącej się ogólnem zaufaniem wciągu lat dwudziestu." Po upadku pierwszej firmy nastąpił upadek drugiej, niemniej poważnej; za drugą poszła trzecia itd. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, iż prasa berlińska usiłuje, że się tak wyrazimy, odosobnić każdy wypadek bankructwa: w celu uspokojenia publiczności zapewniają dzienniki, że dana firma zbankrutowała jedynie wskutek szacherek i marnotrawstwa szefa, albo wskutek niefortunnej spekulacji z papierami rosyjskimi, Wszystkie te opowieści należą do rzędu faktów niby to prawdziwych, lecz w gruncie rzeczy gorszych od prostego kłamstwa, albowiem dla zamydlenia oczu jeden z pośrednich dowodów przedstawia się tendencyjnie jako główną przyczynę całego krachu. A istota rzeczy jest taka: Giełda berlińska zasypana była oddawna walorami portugalskimi argentyńskimi i innymi południowo-amerykańskimi, oraz papierami niemieckich spekulacyjnych przedsiębiorstw akcyjnych — słowem papierami, za które z trudem osiągnąć można zaledwie czwartą część nominalnej wartości. Wszystkie bez wyjątku papiery niemieckie spadają a przesilenie według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie ogranicza się na firmach bankierskich, albowiem w Niemczech bezprzykładna drożyzna wszystkich artykułów pierwszej potrzeby wytworzyła położenie nader krytyczne, bodaj czy lepsze od naszego. Zresztą nietylko w Niemczech drożyzna paraliżuje obroty handlowo przemysłowe, cała Europa przebywa ciężki rok ekonomiczny; rok ten dopiero się zaczął, a co będzie na wiosnę — to przyszłość pokaże."

KRONIKA.

Nekrologja. W Nowym Sączu zmarł Jan Wierusz Kowalski, weteran z r. 1831. Jako gimnazista, rzuca ławki szkolne i w poczuciu narodowem spieszy, gdzie go wzywa głos obowiązku. Ojciec, posiadacz wioski, daje mu konia i błogosławieństwo na drogę i sam go wyprawia. Jakoż szczęśliwie dostał się do korpusu Dwernickiego, gdzie się zaciągnął do pułku białych ułanów. Bił się pod Boremlą, pod Beresteczkiem, pod Stoczkiem itd. Po upadku powstania śp. Kowalski wstąpił na praktykę do starostwa, gdzie porobiwszy potrzebne egzamina, otrzymał posadę sędziego patrymonialnego w Mszanie. Tam go też zastał rok 1846. Zbity i uwięziony, wyszedł wreszcie z więzienia w roku 1848 i objął posadę w Lipnicy, a organizacja polityczna w r. 1855 zamianowała go urzędnikiem starostwa. W roku 1863 nie mogąc sam brać udziału w ruchu narodowym, wyprawił syna, Zygmunta, ucznia 6. klasy gimnazjalnej. Po dwóch latach wrócił Zygmunt z przestrzelonym na wylot łokciem — kaleka. Śp. Wierusz cofnął się do życia prywatnego, skąd przez długie jeszcze lata przyświecał cnotami prawdziwie patrjarchalnemi. Cześć pamięci zacnego weterana!

Do P. T. kolegów! Pisma popołudniowe przedrukowują całemi szpaltami nasze ranne depesze, nie cytując nigdy źródła, i zamieszczają je już to w „Przeglądzie politycznym", już to w „Kronice", już przerabiając na własne telegramy. Przyzwyczailiśmy się tak do tego, że nic nie wspominamy. W każdym jednak razie musi to oburzać, gdy pisma — jak onegdaj — przedrukowują cały telegram o „Decentralizacji kolei" — telegram, wynoszący przeszło 1.400 słów — i nie cytują ani słówkiem, skąd ten telegram pochodzi.

Dla wiadomości czytelników prowincjonalnych konstatujemy tedy, że telegram ten pierwszy przyniósł *Dziennik Polski*, a popołudniowe pisma przedrukowały go i podały jako własny.

Kalendarz. Poniedziałek (16.): Otmara Op. — Wschód słońca o godzinie 6. minut 16, zachód o godzinie 4. minut 14.

Zarząd Muzeum narodowego w Rapperswylu nabył dla galerji muzealnej znany piękny obraz olejny Piotra Stachiewicza pt. „Błogosławieństwo kosynierów". Dzieło to wysoko utalentowanego artysty, licznych miało miłośników, którzy, jak wiemy, ofiarowali za obraz wyższą nawet cenę od proponowanej przez zarząd Muzeum w Rapperswylu, — p. Stachiewicz przyjął jednak ofertę zarządu, jako patrjotycznej instytucji publicznej, dającej artyście zadowolenie iż praca jego nie utonie w zbiorach prywatnych, lecz oglądaną będzie przez rodaków i cudzoziemców, zwidzających Muzeum. — Ubolewać trzeba, iż prawo reprodukcji tego obrazu przed rokiem jeszcze nabyła jedna z firm wiedeńskich, nie wiemy tylko czy prawo to wyłącznie firmie owej przysługuje. (Fotografie w wielkich rozmiarach). Nabycie „Kosynierów" dla Muzeum w Rapperswylu doszło do skutku dzięki pośrednictwu zasłużonego i zawsze ofiarnego rodaka naszego p. Bukowskiego ze Sztokholmu, który osobiście widział obraz i był zachwycony jego pięknością. Wiemy, jak trudno artystom polskim przychodzi sprzedać dzieła, osnute na tematach patrjotycznych z ostatniego wieku naszych dziejów. Nieliczne galerje publiczne w kraju dzieł tych jakby się obawiały, a do tego i nie rozporządzają najczęściej funduszami na ich nabycie; szczerze więc cieszyć się można, iż piękny obraz p. Stachiewicza, dzięki zrozumieniu tego położenia i staraniom p. Bukowskiego, znajdzie się w zbiorach Narodowego muzeum w Rapperswylu.

Aparat fotograficzny w kapeluszu Ludzkość uszczęśliwiona została znowu nowym wynalazkiem, który umożliwi każdemu śmiertelnikowi każdej chwili zdjęcie fotografji już to najmilszej sercu osoby, rozgniewanej świekry, dąsającej się żony, niemile widzianego przyjaciela domu, lub też zakradającego się nie do swej własności rzezimieszka. Wynalazkiem tym jest mały aparat fotograficzny, umieszczony wraz z kamerą i kliszami w zwykłym kapeluszu męskim. Na zewnątrz kapelusza jest pociągnięta filcem śrubka, którą każdej chwili można wykręcić, a pod którą znajduje się szkło negatywne. Za naciśnięciem sprężynki, znajdującej się również na zewnątrz kapelusza, odsłania się klisza, na której w momencie odbija się wizerunek, który mieć pragniemy. Dalszy proces przeniesienia fotografji na papier, wykonuje się znanym sposobem fotograficznym. Kapelusze te, pomysłu p. dr. Lux Borkowskiego, wyrabiane są w Krakowie. Ciężkość różni się zaledwie 3 gramami od zwykłych kapeluszy, a cena ich wraz z odpowiednią liczbą kliszy i rękawka jedwabnego, zastępującego kamerę, wynosi od 35 do 40 zł. Kapelusze te obmyślane są głównie dla turystów, którzy bez żadnego kłopotu i trudu, za pomocą kapelusza mogą dopełniać zdjęcia piękniejszych okolic.

Za niedozwolone leczenie pociągnięty został do odpowiedzialności sądowej niejaki Fritsche, szewc z Artern (Prusy), na tej zasadzie, iż w gazecie miejscowej kilkakrotnie ogłosił: posiadam i tanio sprzedaję niezawodny środek na nagniotki". „Jesteś pan oskarżony o pokątne leczenie bez pozwolenia rady medycznej" — zagaił sprawę prezydujący. — „Tak?" — brzmiała odpowiedź! — „Przyznajesz się pan do winy?" — „Nie!" — „Jak to, skoro ogłaszasz w gazetach, iż posiadasz niezawodny środek na nagniotki". — „Tak. Jestem szewcem i to mój środek". Tu Fritsche rozwinął chustkę i pokazał sądowi kilka par doskonale odrobionych butów. Wśród ogólnego śmiechu opuścił oskarżony salę sądową, zapakowawszy poprzednio starannie swój „niezawodny środek na nagniotki".

Dochody m. Warszawy, projektowane w budżecie na rok 1892, przedstawionym odnośnej władzy do zatwierdzenia, wynoszą rs. 4,835.231, kop. 44, rozchody zaś w tym roku spodziewane są w sumie rs. 4,822.381, kop. 20.

Fanatyzm japoński. Parowiec „Sussex", przybyły z Japonji do Wiktorji w Kolumbji Brytańskiej, przywiózł następującą wiadomość: Niedawno pięciu angielskich — będących na urlopie — oficerów marynarki, do których przyłączyło się dwóch Amerykanów, postanowiło wejść na świętą górę japońską Fussuiyama. Zaledwie wszakże zaczęli wchodzić, przewodnik ich, Japończyk, odebrał sobie życie; wejście bowiem na tak świętą górę uchodzi u Japończyków za świętokradztwo. Młodszy z dwóch Amerykanów zastrzelił się również ze współczucia dla Japończyka. Zwłoki pozostawiono przez jakiś czas w lodowcach, następnie zniesiono je do doliny.

Nekrologja. Ks. Aleksander Hankiewicz, gr. kat. proboszcz w Grzymałowie, radca konsyst. metrop., kanonik honorowy, ogólnie szanowany kapłan w najlepszem tego słowa znaczeniu, który pełnił dzieła miłości chrześcjańskiej, nie szukając za to rozgłosu, typ prawdziwie bogobojnych dawnych księży unickich, choć patrjota ruski, tolerantny dla wszystkich, zmarł tamże dnia 14. bm. w 54. roku życia, a 30. kapłaństwa.

Wakujące posady. Magistrat ogłasza, że wakują posady, zastrzeżone dla wysłużonych podoficerów, a mianowicie:

1. posada kancelisty przy dyrekcji policji w Krakowie; 2. posada woźnego przy sądzie obwodowym w Tarnowie; 3. posada dozorcy więzień II. klasy przy zakładzie karnym w Stanisławowie.

Podania o nadanie pomienionych posad, mają być wnoszone: *ad* 1. do prezydjum dyrekcji policji w Krakowie z terminem do 29. listopada 1891; *ad* 2. do prezydjum sądu obwodowego w Tarnowie, z terminem do 26. listopada rb. i *ad* 3. do dyrekcji domu karnego dla mężczyzn w Stanisławowie, z terminem do 30. listopada rb.

Oprócz tychże, wakuje wiele innych posad służbowych i kancelaryjnych, jednakże po za granicami kraju, a mianowicie: w Austrji, Czechach, na Morawie itd., o które wysłużeni podoficerowie ubiegać się mogą.

Bliższą wiadomość co do warunków kwalifikacji i dotacji, powziąć można w biurze IV. departamentu magistratu.

Zmiana terytorjum. *Wiener Ztg.* ogłasza rozporządzenie ministerstwa sprawiedliwości o przyłączeniu gminy Markuszowa do okręgu sądu powiatowego we Frysztaku w Galicji.

Dar. Cesarz udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Berezów niżny, w powiecie kołomyjskim, na budowę kościoła, zapomogi w kwocie 50 zł.

Uroczyste otwarcie akcyjnej fabryki cukru w Tłumaczu odbyło się dnia 12. bm. Po nabożeństwach, odprawionych w kościele rz.-kat. i cerkwi, wyruszyły procesje do fabryki dla odbycia aktu poświęcenia cukrowni. Aktu poświęcenia dokonał ks. kanonik Sawa, marszałek rady powiatowej w Tłumaczu, w towarzystwie gr.-kat. proboszcza, ks. Stupnickiego, w obec licznie zebranych robotników fabrycznych.

Jest to druga cukrownia w kraju, w którym przemysł cukrowniczy pozostawał zawsze odłogiem. Fabryka, urządzona z zupełnym postępem, rokuje wszelkie nadzieje świetnego rozwoju. Życzyć należy młodej instytucji, ażeby przekonała naszych obywateli, iż nietylko Niemcy potrafią nam imponować przemysłem cukrowniczym, ale, że i w naszym kraju znajdą się ludzie, którzy potrafią przemysł doprowadzić do doskonałości, nie szukając obcych bogów.

Oświadczenie. Nie mogąc na liczne zapytania osób mnie życzliwych, każdemu z osobna odpowiedzieć, oznajmiam niniejszem, że uczyniony mi publicznie przez p. Aleksandra Gostkowskiego zarzut z daty 2. bm. oddałem do zbadania dyrekcji Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, która sprawozdanie swe w tym względzie radzie nadzorczej w czasie właściwym przedłoży.

Kraków, dnia 12. listopada 1891.

Czesław Kieszkowski,
szef „działu ubezpieczeń na życie"
Tow. wzajem. ubezpieczeń w Krakowie.

Przegląd polityczny.

* W rubryce telegramów znajdą czytelnicy odpowiedź rządu w sprawie decentralizacji kolei Rezultat ostateczny streszcza się w tem, że trzy najważniejsze postulaty kraju, a mianowicie utworzenie jeneralnej dyrekcji galicyjskich kolei skarbowych, rady krajowej kolejowej i zaprowadzenie języka polskiego jako urzędowego w wewnętrznej służbie upadły, natomiast inne, ekonomicznej natury zostały dyrekcjom ruchu przyznane. W postulatach Koła wypowiedzianych w *memorandum* o języku polskim nie było wzmianki, z głosów jednak pism niemieckich widoczną jest rzeczą, że Koło polskie i w tej sprawie postawiło żądania, które jednak uwzględnione nie zostały. Jakkolwiek jednak o decentralizacji nie ma mowy, to przecież nie da się zaprzeczyć, że rezultat ten jest dla kraju dosyć pomyślny i w każdym razie nie jedną mu przyniesie korzyść.

Tyle razy byliśmy zmuszeni czynić Kołu polskiemu gorżkie wymówki, że obecnie chętnie spełniamy nasz obowiązek, dziękując za to, co uzyskano, tembardziej, że rozumiemy, jak trudne było jego położenie. I tu jak zwykle korona wzięła inicjatywę w pogodzeniu sprzeczności, a o ile nam z dobrych źródeł wiadomo, w pierwszej linji cesarzowi mamy do zawdzięczenia, że i to przynajmniej dało się uzyskać. To też uchwała Koła, które z „pełnem zaufaniem zastosowało się do woli monarchy" znajdzie zgodę w całym kraju.

Dla umotywowania odmowy zupełnej decentralizacji, wypowiedział cesarz do p. Jaworskiego słowa, które niewątpliwie wywołają doniosłe, a głębokie wrażenie. Słowa te rzucają jaskrawe światło na dzisiejszą sytuację i nienajlepszy na przyszłość horoskop stawiają. Nie chcemy uwag naszych opierać na doniesieniach pism niemieckich, które wprost widmo wojny wyciągają — dlatego wolimy poczekać na autentyczny tekst cesarskich słów. Z tem wszystkiem, gdy zestawimy słowa cesarskie, wyrzeczone do delegacyj, exposée p. Kalnoky'ego i przemówienie cesarza, skierowane za pośrednictwem p. Jaworskiego do Koła polskiego, musimy przyjść do przekonania, że sytuacja ogólna nie przedstawia się zbyt różowo, a każdej chwili zmienić się może w poważną, a nawet groźną.

(**Telegramy z innych pism.**)

Hamburg 14. listopada. *Hamb. Nachr.* rozpoczęły serję artykułów, zwróconych przeciwko Polakom w Poznańskiem, oświadczając, że obecna polityka rządu niemieckiego o ile jest przyjaźniejsza Polakom, o tyle niebezpieczna państwu. (*G. L.*).

Bukareszt 14. listopada. Barthelemy St. Hilaire, wystósował do tutejszego wydawcy dziennika *Globul* otwarte pismo, którem wskazał na Rosję, jako na nieprzyjaciela Rumunji i groźbę dla całego zachodu Europy. (*G. L.*).

Londyn 14. listopada. Z Petersburga otrzymano tutaj zupełnie wiarygodną rzekomo wiadomość, iż minister skarbu Wyszniegradzki ustąpić ma już w czasie najbliższym. (*G. L.*)

Delegacje wspólne.

(**Telegramy „Dziennika polskiego".**)

Wiedeń 15. listopada. W podkomitecie delegacji węgierskiej przedstawił Kalnoky *exposé* o ogólnej sytuacji politycznej. Palk zapytywał ministra w trzech kierunkach: 1. od kogo wyszła inicjatywa odnowienia trójprzymierza; 2. jakie są obecnie stosunki z Serbią i Rumunją; 3. jak zapatruje się minister na kwestję dardanelską.

Kalnoky odpowiedział, że odnowienie trójprzymierza nastąpiło z inicjatywy Niemiec i — jak dawniej — ma i dziś na celu zapewnienie pokoju. Bułgarja rozwija się i umacnia, jednakże uznaniu faktycznego stanu rzeczy stoi ciągle ta sama rzecz na przeszkodzie, co i pierwej.

Nie należy jednak w naszym interesie sprawę forsować, Co do Serbji nie wiadomo o żadnem zajściu, któreby świadczyło, iż państwo to zamierza zająć względem monarchji austro-węgierskiej wrogie stanowisko. W kwestji dardanelskiej nie ma rząd nic do zarzucenia ugodzie turecko-rosyjskiej.

Aponji zauważył, iż rząd austro-węgierski, czyniąc tak znaczne ustępstwa dla Rosji w kwestji dardanelskiej, mógłby w zamian żądać przynajmniej uznania Bułgarji.

Po dłuższej debacie przyjął podkomitet wywody Kalnoky'ego z nieograniczonem zaufaniem do wiadomości.

Telegramy „Dziennika Polskiego."

Wiedeń 15. listopada. *W. Abendpost* oświadcza, że cesarz w rozmowie z Jaworskim nie użył słów, jakie podaje *Tagbl.* Szepsa. W sprawie tej, nie chcąc polegać na mylnych informacjach dzienników wiedeńskich, nie podaję krążących wersyj. Koło polskie nie wydało dotychczas komunikatu w tej sprawie. Skutkiem mylnego przedstawienia w dziennikach wiedeńskich rozmowy z Jaworskim zapanowała na giełdzie niebywała panika, Kredyty spadły w ciągu dnia z 273 zł. na 261, a dopiero ku wieczorowi skutkiem dementi *Wr. Abendpost* podniosły się na 271. Giełda wiedeńska stała się obecnie nadzwyczaj wrażliwą.

Berlin 15. listopada. Pisma omawiają znane słowa, które cesarz Wilhelm miał wpisać do książki pamiątkowej w Monachjum „suprema lex regis voluntas" i poddają je ostrej krytyce. Nawet umiarkowane pisma przypominają, że ważniejsze nad te słowa monarchy jest znane „suprema lex salus rei publicae."

Prasa uderza na Herberta Bismarka, który nic nie odpowiada na zarzut posła Arendta, jakoby namawiał Anglików do zniszczenia ekspedycji Petersa. Ciężki ten zarzut nigdzie nie został odparty.

Paryż 15. listopada. Jakiś młody człowiek który w Breście przy sposobności przyjęcia oficerów rosyjskich zawołał „Niech żyją Niemcy!" został skazany na 50 fr. grzywny.

Chicago 15, listopada. W dniu 12. b. m. przypadała rocznica stracenia anarchistów w roku 1887. Ku jej uczczeniu odbyło się tegoż dnia zgromadzenie anarchistów. Skutkiem gwałtownego wystąpienia jednego z mowców powstało takie wzburzenie, że okazała się konieczną interwencja policji, która zażądała, by na trybunie dla mowców wywieszono obok czerwonego sztandaru także flagę państwową. Zgromadzeni chcieli się rzucić na przedstawicieli władzy, skutkiem czego zebranie zostało rozwiązane.

TEATR HR. SKARBKA.

Dziś

Po raz pierwszy

Koniec Sodomy

sztuka w 5. aktach H. Sudermanna w przekładzie Julji Otrembowej.

OSOBY:

Jakób Berensdorf	Feldman
Adela, jego żona	Stachowicz
Kasia Fattenburg, jej siostrzenica	Kwiecińska
Der Weissn, literat	Kwieciński
Drobisch, radca sanitarny	Szobert
Betty Schoniein	Urbanowiczówna
Elsa Meyer	Czechowiczówna
Sigfrid Meyer, jej szwagier	Trapszo
Dor Bruno Süsskind, referendarz	Hierowski
Profesor Riemann, malarz	Chmieliński
Janików, były obywatel ziemi	Zboliński
Marja, jego żona	Cichocka
Wilhelm ich syn, malarz	Woleński
Kramer, kandydat na profesora	Zawadzki
Klara Frolich	Czaplińska
Rozia, pokojówka Adeli	Piasecka
Mina, służąca Janikowów	Flach

Służba, goście. — Rzecz dzieje się w Berlinie w obecnym czasie.

Jutro po raz dwunasty: **„Ptasznik z Tyrolu"**, operetka w 3. aktach Westa i Helda z muzyką Zellera.

Z Drukarni „Dziennika Polskiego," pod zarządem Franciszka Kattnera.